

# NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Drwęcy”.

Nr. 16

Nowemiasto, sobota 18 kwietnia 1925.

Rok 2

## Ewangelja

św. Jana rozdz. 20, wiersz 19-31.

Gdy tedy był wieczór dnia onego pierwszego szabatów, a drzwi były zamknięte, kędy u czniowie byli zgromadzeni dla bogaźni żydów; przyszedł Jezus i stanął w pośrodku i rzekł im: Pokój wam. A to rzekłszy, ukazał im ręce i bok. Uradowali się tedy uczniowie, ujrawszy Pana. Rzekł im tedy zasię: Pokój wam. Jako Mnie posłał Ojciec i Ja Was posyłam. To powiedziawszy, tchnął na nich i rzekł im: Weźmijcie Ducha świętego. Których odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a których zatrzymacie, są zatrzymane. Tu rozpoczyna się ewangelja na święto św. Tomasza. A Tomasz, jeden ze dwanaście, którego zowią Dydimus (bliźniak), nie był z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Mówili mu tedy drudzy uczniowie: Widzieliśmy Pana. A on im rzekł: Jeśli nie ujrzę w rękę Jego przebiccia gwoździ i nie włożę ręki mojej w bok Jego, nie uwierzę. A po ośmiu dni byli zasię uczniowie Jego w domu i Tomasz z nimi. Przyszedł Jezus drzwiami zamkniętymi i stanął w pośrodku i rzekł: Pokój wam. Potem rzekł Tomaszowi: Włóż sam palec twój, a oglądaj rękę Moję i ściagnij rękę twoją, a włoż w bok Mój, a nie bądź niewiernym, ale wiernym. Odpowiedział Tomasz i rzekł Mu: Pan mój i Bóg mój. Powiedział mu Jezus: Iżes Mnie ujrzał, Tomaszu uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Wieleć i innych znaków u czynił Jezus przed oczyma uczniów Swoich, które nie są w tych księgach napisane. A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystus Syn Boży, a iżbyście wierząc żywot mieli w Imię Jego.

## Nauka

I n. po Wielkanocy.  
Niedziela Biała

Dzisiejszą niedzielę nazywamy białą.  
Skąd taka nazwa się wzięła?

Nowo ochrzczeni w Wielką Sobotę przez cały tydzień zjawiali się na nabożeństwach w białych szatach, które przy Chrzcie św. otrzymali jako znak szaty godowej łaski uświęcającej, którą przez Chrzcist św. zdobywali. — Dlatego też dziś jeszcze chrześniakowi kapłan wkłada

choćby tylko białą czapczkę na głowę. W dzisiejszą niedzielę nowo ochrzczeni ostatni raz zjawili się na nabożeństwie w białych szatach i przystępowali do Stoła Pańskiego, potem Biskup lub kapłan upominał ich, aby złożywszy białe szaty i wróciwszy do zajęć zawodowych nie utracili szaty godowej łaski uświęcającej przez grzech ciężki, udzielał im błogosławieństwa, po którym wierzchnie szaty białe zdejmowali i ukazywali się w zwyczajnym ubiorze.

I my przy Chrzcie św. otrzymaliśmy szatę białą, szatę godową łaski uświęcającej, lecz ledwie kto ją zachował. Brakaliśmy ją może już w najmłodszych latach grzechami powszednimi, a może wcześniej utraciliśmy ją przez grzech śmiertelny. — I byłibyśmy na wieki zgineeli, gdyby P. Jezus w nieskończonym Swem miłosierdziu nie był ustanowił jakby drugiego chrztu, Sakramentu Pokuty, przez który możemy uzyskać odpuszczenie grzechów, a odzyskać utraconą szatę godową łaski, jeżeli Sakr. Pokuty godnie przyjmujemy. — Dzisiejsza Ewangelja daje nam dowód, że P. Jezus św. Sakrament Pokuty ustanowił, że dał Kościołowi św. władzę odpuszczenia grzechów i zatrzymania ich. A jeżeli spowiednik ma wiedzieć, czy może rozgrzeszyć lub zatrzymać odroczyć rozgrzeszenie, to grzesznik musi przed nim wyznać szczerze grzechy i bez obłudy przed spowiednikiem odkryć stan duszy, czyli winien złożyć szczerą spowiedź. Spowiadali się więc pierwsi chrześcijanie, o czem Dzieje Apostolskie wyraźnie uczą.

Jeżeli grzesznik ma szczerze wyznać swoje grzechy i bez obłudy odkryć stan swej duszy, to musi sam najprzód dokładnie poznać stan swej duszy i swoje grzechy, dla czego konieczny jest dobry rachunek samienia.

Należyte przypomnienie sobie grzechów i poznanie smutnego stanu duszy wywołują lęk i obawę przed karą Bożą, smutek i boleść duszy z powodu poniesionej obrazy Bożej, niegodziwość i niewdzięczność wobec Najwyższego Dobra, a mocną wolę poprawy, pokuty, naprawy i unikania złego, czyli żal i mocne postanowienie, a szczerą wolę zadosyćuczynienia Bogu i bliźnim.

Godnie przyjęty Sakrament Pokuty sprawi zupełną przemianę duszy, wróci duszy utracony pokój i łaskę, P. Jezus przemówi do duszy:



# CZARNY RYCERZ

Opowiadanie historyczne z XI wieku  
16) przez  
WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

— Hm! zawołał Leszek z oburzeniem — a cóż to, nie wiesz, czy co! Mnie wszystkie króle znają i grałem z nimi w kości nieraz i wino piłem...

Ale co wy tam chłopcy wiecie? wam się wiodzi, że w Krakowie, to jak w Żembocinie. Król mnie lepiej zna, jak raz przyszedł do mnie, to mnie trącił w ramię i gada: Leszku, a miej tam oko na wszystko, bo Mikołaj jest gorący i gotów się porwać na tysiące. A żem sobie wtedy przypopreżał konia, król widząc, że się męczę, rzecze: czekaj dopomogę ci! Taki to jest ten król. O! to mój wielki przyjaciel i żebym tylko chciał, toby mi dał zaraz jakie wielkie dziedzictwo i wojewodą by mnie zrobił. Ale ja nie chcę, po co mi to! albo mi tu źle, czy co?

Słuchacze kiwali głowami i dziwili się wielce, a niektórzy z ogromnem uszanowaniem poczęli spoglądać na Leszka, on zaś pusząc się jak paw, opowiadał dalej:

— Jedziemy tedy na ową wyprawę, jedziemy, jedziemy, a tu żywej nigdzie duszy, tylko błonia i błonia porośnięte taką trawą, jak u nas dęby w lesie...

Strach powiadam wam, co to za osobliwszy kraj te Węgry. A po błoniach tych, to tylko smoki chodzą...

— Smoki?

— A smoki. Najlepsze to w nich są ogony i oczy...

— Jadłes Leszku smoczy ogon?

— A jakże, doskonale jedzenie... ho! ho! czego ja nie jadłem. Jedziemy, jedziemy, a tu nocka zapadła i nie me widać. Mówię ja do dziedzica: stańmy tu i przencucujmy, a on mi powiada: głupis, tu będzie wieś niedaleko. Ha! myślę sobie wieś to i dobrze, bo mię kości bolały i głodny też byłem. Jedziemy, jedziemy... a już w dali światelko błyska, małeńkie światelko. A widzisz! mówi dziedzic, odpoczniemy sobie i jutro świtanem wyruszymy dalej. Jedziemy co robiący, a tu konie prychają i strzygą uszyna. Oj źle, myślę sobie, a może tu będzie smok, si bo zwierz jaki okrutny. A w tem miły Boże! kiedy to się nie rozlegnie wrzask straszny, strzały świszczą, miecze błyszcza, sądny dzień. Przyskoczę do dziedzica, a jego już jakiś Węgrzyn na stryczek schwytał, z konia ściągając i wlecząc po trawie. Jadę więc za nimi, a na płacz mi się zbiera i serce mi się ścisza. Przyjechaliśmy do zamku wielkiego na wyspie i dziedzic tego zamku, co się zwał Giejza wyszedł nas oglądać. Rzeknę tedy do niego: godziż to się takiego rycerza, jak mój dziedzic, na stryczku niby psa ciągnąć? A on mię buch w pysk...

— Jak to? ciebie Leszku?

— Mnie! mnie! Któż ci to powiada, że mnie? Mnie się strasznie Węgry bały! Ho! ho! ze mną nie żarty. Jakem ja raz krzyknął, to dziesięciu Węgrów na ziemię padło, niby gromem rażeni. A zresztą co wy tam wiecie chłopcy. Wy się nie znacie na rycerskiem rzemio-

śle i na wojence. Jaśku! obrócił się Leszek do młodego chłopca, który stał z roztworzonemi szeroko ustami i słuchał, — Jaśku, idź no zobacz co oni tam gotują na wieczerzę czy prędko będzie... bo mnie coś koło serca ścisza, a to jest pewno z głędu.

IX.

## Przepowiednia Jędzy.

Rok blisko upłynął od turnieju w Krakowie i od powrotu pana Żembocińskiego do swego dziedzictwa. Przez ten czas Leszek odpoczął sobie tak dobrze, że wyglądał jak beczka, a o czy z pośrodku tłustych i czerwonych policzków ledwie mu widać było.

— Nie mogę powiedzieć, mówił niekiedy, żeby tu w Żembocinie źle było. Nie, tego nie mogę powiedzieć, bo bym zgrzeszył, ale...

— Ale co? pytano go się.

— Ale... mogłoby być lepiej. Dają jeno trzy razy na dzień jeść. Pytam się każdego, dlaczego nie sześć, a choćby już tylko pięć razy? W domach wojewodzińskich i królewskich, jak np. w Krakowie, to dawali najprzód śniadanie, potem przedobiadek, potem obiad, potem po obiedzie. Po południu to dawali podwieczorek, a w końcu dopiero wieczerzę. I tego było sześć razy. Człek się miał niezgorzej i jeno pasa popuszczal, a tu choć jest dobrze, ani słowa, ale nigdy jeszcze pasa nie popuszczalem.

Miało się jednak skończyć już dla Leszka to próżnowanie i używanie. Ledwie bowiem ciepło wiosenne się ukazało i śniegi topnieć poczęły, bociany i jaskółki ściagać, gdy przyszyli wici królewskie, zwołujące rycerstwo na wyprawę do Kijowa.

— Leszku, rzecze Mikołaj opatrz konie i zbroję. Za trzy dni wyruszymy do Krakowa, a potem gdzie król każe.

Oczywiście Leszkowi się to bardzo nie podobalo. Podrapał się po bujnej czuprynie, westchnął ciężko i idąc do stajni mruczał:

— Bodaj to wciurności perwali! czy nam tu źle, czy co w Żembocinie, byśmy znowu szli guza szukać po świecie? Żebym ja był królem i siedział sobie na takim zamku, jak ten co jest na Wawelu i miał takie przedniejedzenie, takie wino, miody i takie szaty, to po kiego licha miałbym wojny prowadzić? Poszaleli ludzie oczywiście poszaleli. Oho! mój Leszku, przepały twoje dobre czasy! nie będziesz już teraz wylegiwał się za piecem i jadał kaszy z młkiem, klusek z miodem i makiem, combrów baranich i pieczonęj świniny. Wszystko przepało; nawet o piwo będzie ciężko, a cóż tu dopiero o winie gadać!

Tak narzekal Leszek, ale nie było rady. We dworze Żembocińskim zrobił się teraz ruch wielki, oczyszczano zbroje, ostrzono miecze, włócznie i topory, opatrywano i kuto konie, szyto proporce. Mikołaj oprócz giermka Leszka brał ze sobą dziesięciu pachoików w luskowych zbrojach, trzeba ich więc było opatrzyć, jak należy we wszystko. Pani Małgorzata płakała i do męża mówiła:

— Obyś wrócił zdrów i jaknajprędzej, bo mam przecucie, że się coś złego stanie.

— Cóż się może złego stać? Zginę, a no to cóż robić. Gdzie drwa rąbią, tam wiory lecą — odpowiadał Mikołaj. Ale mnie się nie widzi, że-

by w tej wojnie było jakie niebezpieczeństwo. Gadają ludzie, że to nie wojna, tylko przechadzka do Kijowa. Żali nie jedzie z nami prawowity książę kijowski Izasław? Słyszę dwóch jego synów jest z nim, Świętopełk i Mścisław. Kijów nie będzie śmiał się upierać swemu panu.

Tak pocieszał Mikołaj swoją żonę i naglił, by przygotowania prędko kończono. Leszek chodził jak osowiały i powiadał, że ze zgrzyoty musi pasa przykrócać.

— A cóż to, pytano go się boicie się Leszku?

Ja? wołał z oburzeniem ja miałbym się bać! Ale co wy tam wiecie głupie chlopy, nie wasz rozum na to. Obaczycie, że wrócę wojewodą. Król kiedyś się z nim widział ostatni raz w Krakowie, gadał mi klepiąc mnie po ramieniu: „Leszku, niech no będzie wojna, zrobię cię rycerzem i wojewodą.“ My się bardzo kochamy z królem Bolkiem.

Ludzie śmiali się z tego serdecznie, a Leszek prostował się i puszył, jak paw. Powoli wszystko było gotowe. Dziesięciu pachokłów zaopatrzonych należycie pomieszczono w stodole i nazajutrz świtaniem miał z nimi Mikołaj wyruszyć do Krakowa. Wieczorem Leszek, który pomimo swych wad dbał bardzo o konie, wrócił zę stajni do swej izby, gdy na dziedzińcu zdybał się z jakąś niewiastą. Była ona ubrana w białą płócienną sukmanę, w łapcie lipowe, a na głowie miała modrą zapaskę z samodziątu. Z pod zapaski widać było jej twarz chudą nos

jastrzębi, oczy głęboko zapadłe i świecące jak dwa ogniki i mnóstwo skoltunowanych kosmyków siwych włosów. Leszek popatrzał na nią, zbliżył się bo zmrok zapadał i nagle odskakując zawoła:

— Przebóg, to Jędza!

— A Jędza synku, rzecze na to baba swym grubym, chrapliwym głosem Jędza! to widzę nie zapomniałeś o mnie, jakem cię nakarmiła ciakiem uduszonego dziecięcia, a tyś myślał, że to proszę. Ha! Ha! Ha!

Śmiała się głośno, wzięła się pod boki i patrzyła na Leszka palącymi oczami, jakby go chciała niemi prześwidrować.

— Cóż, mówiła dalej, na wojenkę jedziesz z dziedzicem? he? będziecie wy mieli wojenkę? Mgły wielkie nocami się wlecą po polach, upiory po błoniach chodzą, wisielecy po puszczech jęczą, topielecy po rzekach się pluszczą. Będzie to wojenka! Pół nieba wczoraj krwią się zalało, ziemia ranami drży z bólu. Wilkołaki i boginki na bugajach płasy szpetne wyprawiają. Będzie to, będzie wojenka!

— Leszek zęgnąć się pozał i strach go wielki zdjął.

— Jezus, Marya, Józef! szeptał — zmiłuj się nad nami!

A Jędza nagle obróciła się ku dworowi i wyciągając tam chudą rękę, która odbijała się wyraziście na jaśniejącym niebie na zachodzie, półszeptem mówiła:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

**Rozmaitości.**

**Dziwactwa milionera.**

Jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce, Henry L. Doherty z Columbus, w stanie Ohio, spędza noce swoje w sposób niezwykły.

Doherty nie posiada jednego pokoju sypialnego, lecz cały ich szereg, aby zaś nie przenosić się z jednego do drugiego, posiada łóżko na szynach z kunsztownym urządzeniem elektrycznym. Gdy położy się do tego łóżka, to wystarcza mu nacisnąć guzik elektryczny w ramie łóżka, aby przesunęło się lekko po szynach do pokoju „słonecznego“ obszernej sali, oświetlonej sztucznym słońcem górskim za pomocą lamp kwarcowych.

Tu dziwak poddaje się działaniu promieni ożywczych, poczem, nacisnąwszy inny guzik, przejeżdża do pokoju, chłodnego i zaciemnionego.

Na tem jednak nie kończy się jego wędrowka, lubi bowiem spać na świeżem powietrzu. Jeżeli zatem pogoda pozwala, naciska jeszcze jeden guzik. Otwierają się drzwi pokoju, łóżko przejeżdża do windy i wnet staje w ogrodzie, urządzonym na dachu domu. Tam wreszcie dziwak zasypia.

Doherty nie zna innych podróży. Będąc starym kawalerem, spędza samotnie dni w położonym tuż nad jego biurami szesnastopokojowym mieszkaniu, gdzie posiada wielki ogród zimowy, salę koncertową z salą bilardową.

Karjerę swą zaczął Doherty jako chłopiec do posyłek w towarzystwie gazowem miasta Columbus, a posuwając się coraz wyżej, stał się w końcu kierownikiem tego przedsiębiorstwa.

Dziś jest pozatem prezesem rad zarządzających kilku towarzystw kolejowych.

**Prezydent Ameryki na drewnianym koniku.**

Dziennikarze amerykańscy mają nowe źródło dowcipów. Dostarcza im tematu drewniany koń prezydenta Coolidge'a

Prezydent Stanów Zjednoczonych jest gorącym zwolennikiem sportu. Ale troski rządu zajmują mu zbyt wiele czasu i nie pozwalają na ulubione ćwiczenia na świeżem powietrzu.

Cóż tedy robi prezydent? Oto kazał sobie wystrugać drewnianego konia, opatrzonemu sprytnym mechanizmem, dzięki któremu drewniany rumak może chodzić stępą, kłusem i nawet puścić się galopem oczywiście tylko w miejscu. Niemniej jeździec cieszy się podobnymi wrażeniami, jakoby na końskim grzbiecie przebiegał szerokie stopy.

**Wyspa pochłonięta przez morze.**

Mała wyspa Port Aleksander, należąca do portugalskiej kolonii Angola w Afryce Zachodniej, zniknęła z powierzchni wody.

Pierwszy wiadomość tą zakomunikował światu parowiec „Menil“, na którego pokładzie znajdował się geograf niemiecki Weiss. Z rozmowy z mieszkańcami wysp sąsiednich uczony wyniósł zdanie, iż wyspa prawdopodobnie z powodu wybuchu została pochłonięta przez morze w ciągu kilku minut.

Szczegóły tego przewrotu w przyrodzie nie są jeszcze stwierdzone: są jednak obawy, że nie obeszło się bez strat w ludziach. Wyspa miała 4 tys. jardów (miarą angielską, równa 3 stopom) kwadratowych obszaru i była zamieszкана.